

Weryfikacja

AUTOR: **Grzegorz Chlasta** | Maj 26, 2014

**Nikt nie ustalał kryteriów, więc dochodziło do błędów i nieszczęść.
Wielu ludzi być może skrzywdzono na całe życie, a kraj na tym stracił**

Wojciech Brochwicz, Piotr Niemczyk, Bartłomiej Sienkiewicz

Wojciech Brochwicz (ur. 1960)

– prawnik, urzędnik państwowy, pułkownik UOP, współtwórca jednostki GROM. Od 1990 r. w administracji państwowej. Zastępca dyrektora Zarządu Kontrwywiadu UOP. Obecnie prowadzi kancelarię adwokacką.

Piotr Niemczyk (ur. 1962)

– dziennikarz, polityk, urzędnik państwowy, od 1990 r. w UOP. Wykładowca na UW i w Collegium Civitas.

Bartłomiej Sienkiewicz (ur. 1961)

– historyk, publicysta, analityk polityczny, urzędnik państwowy, polityk. Dyrektor Biura Koordynacji i Prognoz UOP (1990-1991). Od 25 lutego 2013 r. minister spraw wewnętrznych i koordynator służb specjalnych.

Jakimi kryteriami kierowaliście się, weryfikując funkcjonariuszy SB?

WOJCIECH BROCHWICZ: Nikt nie ustalał żadnych kryteriów. To wszystko była wolna amerykanka, dlatego dochodziło do kompromitujących błędów oraz nieszczęść. Wielu ludziom być może uczyniono na całe życie krzywdę, a kraj na tym stracił. Cały pomysł z weryfikacją od początku wydawał mi się niepoważny. Dużo prościej i czytelniej z prawnego punktu widzenia byłoby rozwiązać SB, co też uczyniono, i otworzyć nabór do nowej służby. Bez tego cyrku. Przecież mieliśmy dostęp do pełnej wiedzy. Można było każdego z kandydatów zgłaszających się do służby sprawdzić, prześwietlić, wysłuchać, bez takiego dziwaczного i, powiedziałbym, dyskusyjnego z prawnego punktu widzenia quasi-procesu. Niczemu to nie służyło. Ale tak sobie wymyślili posłowie, a my musieliśmy to wykonać. W każdym województwie powstały komisje. A w komisjach znaleźli się lokalni działacze „Solidarności” – zazwyczaj tacy, którzy już przymierzali się do stanowiska szefów nowo tworzonej służby. Na ogół to się potwierdzało, przewodniczący lub wiceprzewodniczący komisji zostawali potem szefami tworzonych delegatur Urzędu

Ochrony Państwa. No i każda z tych komisji wojewódzkich prowadziła własną politykę weryfikacyjną. Nie przypominam sobie żadnych wytycznych poza, jak sądzę, ustnymi wskazówkami szefów, czyli [Krzysztofa] Kozłowskiego i [Andrzeja] Milczanowskiego. Moja komisja zajmowała się kadrami w centrali. Centrala na Rakowieckiej to było państwo w państwie. W Warszawie osobno została powołana komisja stołeczna, tam działał Piotr Niemczyk.

Kto konkretnie zasiadał w tych komisjach?

– Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Jakieś lokalne środowiska. Wszystko się wtedy chyba opierało wyłącznie na krewnych i znajomych Królika i szło tym kluczem. Ktoś z OKP znał kogoś, ktoś kogoś polecał... My też w ten sposób trafiliśmy na Rakowiecką. Zapewne w centrali zatwierdzał te zespoły Kozłowski, ale zatwierdzał tylko formalnie, bo był jakby rezydentem „Solidarności” na Rakowieckiej. Mówię o okresie sprzed podziałów. Dlatego w chwili gdy przyszedł rząd Jana Olszewskiego, a ministrem spraw wewnętrznych został Antoni Macierewicz, to ja wiedziałem o nim tyle, że jest wybitnym działaczem opozycji.

Bo to prawda.

– Owszem. Dlatego ucieszyłem się, że będę miał takiego szefa. Odetchnąłem z ulgą, gdyż bałem się, co nas czeka po odejściu Krzysztofa Kozłowskiego, potem Henryka Majewskiego... A tu proszę, Macierewicz, rewelacja, taki facet! Po czym przyszedł do nas, dyrektorów UOP, których zaprosił na odprawę, i oświadczył, że jego zdaniem Polska nie jest jeszcze niepodległym państwem i teraz on dopiero się za to wszystko weźmie. Ja zdążyłem wsadzić dwóch szpiegów niemieckich, nadzorowałem operację „Most” (mającą na celu przerzucenie Żydów z ZSRR do Izraela; polskie służby podjęły wówczas współpracę z Mosadem i CIA; operację przeprowadzono w latach 1990-1992), robiłem naprawdę ważną robotę dla Polski, a tu nagle dowiaduję się, że pracuję w bezpiece kraju, który nie jest niepodległy. Zweryfikowałem swój entuzjazm, a potem z każdym dniem było coraz gorzej... (...)

Jest taka scena w „Psach” Pasikowskiego. Franciszek Maurer, który skończył studia prawnicze w Krakowie z wyróżnieniem, siada przed komisją i dopytywany o esbecką przeszłość mówi do jednego z jej członków, senatora Wencla, granego przez Zbigniewa Zapasiewicza: „Czasy się zmieniają, ale pan zawsze jest w komisjach...”.

Tak to wyglądało?

– Sceny filmu dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że Zapasiewicz grał wtedy bardzo słusznego polityka. Pewnie miał to być z założenia scenariuszowego jakiś straszny oportunista albo człowiek dawnej bezpieki.

I tak jak w „Psach” zachowywali się weryfikowani funkcjonariusze?

– Nie, skąd. Trudno mi powiedzieć, jak było w terenie, ale tu, w Warszawie – nie. Te osoby wzywano, była lista, i każdy wiedział, kiedy ma przyjść. Przychodzili na krótką albo dłuższą rozmowę. Jeśli komisja miała wątpliwości co do pewnych epizodów kariery delikwenta, zadawała dodatkowe pytania, wzywała innych funkcjonariuszy albo pytała osoby, które były przez tego człowieka prześladowane. Słowem – komisja zbierała informacje. Nie była to jakaś praca w pocie czoła, ale przynajmniej zachowywano pozory procesu. Człowiek siadał i rozmawiał z komisją, potem szedł do domu, a komisja po obradach wydawała wyrok, bo tak to należy nazwać. Oni mieli sprawę z głowy, a ja zostawałem z problemem delikwenta. Musiałem człowieka zaprosić do gabinetu i zakomunikować mu np., że niestety, ale nie został zweryfikowany. Zwykle delikwenci przyjmowali decyzję ze spokojem, choć bywały wyjątkowe przypadki, kiedy się awanturowali. Nie ze mną, ale z moją sekretarką. Mnie akurat nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś na mnie krzyczał. Zresztą starałem się zapewnić im minimum poszanowania godności, traktowałem bardzo poważnie.

A jacy to byli ludzie?

– Przeważnie dość inteligentni, wykształceni, w centrali raczej się nie spotykało prostactwa. Miałem okazję porównać poziom tej kadry z kadrą, którą zastałem później w Straży Granicznej, wywodzącą się z Wojsk Ochrony Pogranicza. Kadra na Rakowieckiej jednak była kilka pięter wyżej, jeśli chodzi o znajomość świata, życia, takiego obycia. No i widoczne były zdecydowane różnice pomiędzy tymi, którzy pracowali za granicą, powiedzmy, fotografując okręty w porcie marynarki wojennej, a tymi, którzy spędzili czas na paleniu papierosów za biurkiem na Rakowieckiej.

Skąd pewność, że ci, którzy pracowali dla Rosji, dalej tego nie robili?

– Nigdy nie ma takiej pewności. Chyba nikt na świecie nie wymyślił złotego sposobu na nabycie takiej pewności. Długo na ten temat rozmawialiśmy z Brytyjczykami,

którzy bardzo wcześnie pojawili się na Rakowieckiej. Bo trzeba zaznaczyć, że ich rząd szybko dogadał się z naszym i zaczęła się współpraca. Mieliśmy oficerów łącznikowych niemalże natychmiast po wyjściu Rosjan. A oni bardzo wiele dla nas zrobili, rzeczywiście chcieli pomóc, wdrożyć, wyedukować. Wiadomo, że nie bezinteresownie – że w ten sposób chcieli jak najwięcej się dowiedzieć, uzyskać cenne dla siebie informacje, może wyłapać jakieś źródła. (...)

Nazwał pan decyzje komisji wyrokiem. Czy w takim razie uznać można komisje weryfikacyjne za sąd?

– Na pewno w każdej komisji był pełniący rolę nieformalnego adwokata oficer z tej jednostki organizacyjnej, która akurat była weryfikowana, gdyż weryfikowaliśmy departamentami. W przypadku wywiadu takim oficerem był Gromosław Czempiński. W przypadku kontrwywiadu ówczesny dyrektor tegoż kontrwywiadu, już nieżyjący Andrzej Sroka. Oni też mieli możliwość wypowiedzenia się na temat każdego z oficerów. Ja byłem kimś w rodzaju prokuratora, bo zbierałem na nich dokumenty, zapoznawałem się z aktami, miałem już wtedy swoich informatorów. Szczerze powiedziawszy – nie było to znowu takie trudne. Ludzie przybiegali, opowiadali, mogłem więc przedstawić komisji w miarę spójny obraz postaci i przebieg kariery, przeprowadzić członków komisji przez zawiłości, na które zdarzało im się natrafić w teczkach personalnych. (...) Jako jedyny z nowej ekipy miałem poważniejsze doświadczenia w archiwach, bo zajmując się od czasu do czasu pracą naukową, po archiwach wędrowałem. (...)

A wtedy?

– Wtedy było to całe piętro na Rakowieckiej, albo znaczna część, gdzie stały po prostu segregatory, jak w bibliotekach – szufladki z literkami. Otwierało się, znajdowało fiszkę z nazwiskiem, a na fiszce zaznaczone było coś więcej, czyli gdzie szukać, kto prowadzi, jaka jest kwalifikacja, czy to tajny współpracownik, czy kontakt operacyjny albo kandydat na tajnego współpracownika. (...)

Drugim ruchem była rozmowa z pracownikami biura, czyli z ludźmi, którzy w całej tej dżungli się orientowali. Oczywiście mogli nam powiedzieć wszystko, a mogli nie powiedzieć niczego. Trzeba więc było się jakoś z nimi dogadywać. Dość szybko jednak się zorientowałem, że istnieją i inne źródła informacji, bardzo cenne!

Na przykład dokumentacja mieszkań konspiracyjnych. W nomenklaturze i w praktyce ubeckiej mieszkanie konspiracyjne było traktowane tak samo jak agent. Miało swoją teczkę, ktoś za nie odpowiadał, no i w teczce był wykaz wszystkich osób

korzystających z mieszkania, a to już stanowiło dla nas ważną wskazówkę. Bo zdarzało się, i to niejednokrotnie, że wyczyszczono wszystkie dane dotyczące tajnego współpracownika. Przecież w chwili gdy zaczynaliśmy pracę na Rakowieckiej, oni pod naszym nosem jeszcze palili akta. Więc niby zlikwidowano czyjeś teczki, ale zapomniano o wykazie gości z mieszkania konspiracyjnego. No i bach – mamy cię! (...)

Jak pan trafił do komisji weryfikacyjnej?

PIOTR NIEMCZYK: W Warszawie sprawę przegapiono i nagle się okazało, że nie ma komisji weryfikacyjnej dla Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. A każdy wojewódzki urząd miał swoją komisję. Wtedy mnie powierzono to zadanie. Być może dlatego, że byłem z Warszawy i znałem ludzi. Pojechałem więc do Sejmu z legitymacją MSW. Choć wtedy do budynku na Wiejskiej można było wejść nawet na odpowiedni wyraz twarzy. Starczyło zrobić minę pod tytułem „mam prawo wejść” i strażnik wpuszczał. W kuluarach Sejmu zacząłem pytać znajomych posłów, czyby mi nie pomogli zorganizować komisji. I pamiętam, że ktoś z nich strasznie się oburzył: „Jak to, służby specjalne będą werbować posłów do jakichś komisji? To niedopuszczalne!”. Neofita... Ale inni wspomogli. Przewodniczącym komisji formalnie był Kostek Miodowicz, chociaż powiem szczerze, że nie jestem pewny, czy pojawił się choć na jednym posiedzeniu. Ja zostałem sekretarzem. (...)

Koszmarne okres! Bardzo ciekawy, ale koszmarne. Komisja zaczynała obradować o ósmej rano i kończyła około pierwszej w nocy. Mieliśmy do rozpatrzenia sprawy ponad tysiąca funkcjonariuszy. Do weryfikacji zgłosiło się coś koło 700. Od razu powiem, że zweryfikowaliśmy negatywnie ok. 10%. Przy czym ci z najciekawszych wydziałów albo przynajmniej z dłuższym stażem – z Biura Śledczego, z III i IV Departamentu – raczej się nie zgłaszali.

Bo co do nich nie było wątpliwości. Departament III zajmował się opozycją, IV Kościołem...

– Nie takie proste. „Trójka” w takim samym stopniu zajmowała się opozycją co np. frakcją w PZPR. „Czwórka” tak – jednoznacznie Kościół. Ale „Piątka” jest już trudna do prostego zdefiniowania. Tam były struktury, które odpowiadały za gospodarkę i które również zajmowały się „Solidarnością”. Można było być w „Piątce” i zajmować się wyłącznie sprawą dyrektora jakichś zakładów, który kradł więcej niż inni, ale można było w tych zakładach infiltrować NSZZ „Solidarność”. W takiej sytuacji „Piątka” wspomagała „Trójkę”, której brakowało możliwości działania

w zakładach pracy. Bywało i tak, że ktoś pracował w „Trójce” i w ogóle się nie zajmował opozycją, tylko np. dziennikarzem „Trybuny Ludu”.

Jako sekretarz komisji miał pan tego wszystkiego świadomość?

– W latach 80. byłem jednym z częściej zatrzymywanych ludzi w Warszawie. No więc pooglądałem sobie tych esbeków i od strony operacyjnej, i od strony śledczej. Siedziałem w sumie siedem miesięcy, wcześniej były jakieś zatrzymania. Miałem poczucie, że wiem, co to za ludzie i jak się do nich dobrać. Na podstawie dokumentów i rozmów, w tym ze znajomymi. Przykładowo kolega mi opowiadał, jak go traktował weryfikowany na przesłuchaniu – że przez ileś godzin odmawiał mu szklanki wody. Uznaliśmy to za przesadny środek... i człowiek nie przeszedł weryfikacji. Nie mieliśmy natomiast przypadku bicia. Tacy ludzie chyba sami wiedzieli, że nie mają co się do nas pchać. Pamiętam, jak zweryfikowaliśmy negatywnie grupę kilku oficerów, którzy w aktach mieli jakieś nagrody z tytułu zaangażowania w sprawę Grzegorza Przemyska. Co mógł robić oficer SB w sprawie Przemyska? Zacierać ślady – to oczywiste. Ale najczęstsze były przypadki czystego chuligaństwa. Jazda po pijanemu i wygrażanie milicjantowi podczas zatrzymania, że go wyrzucą ze służby za czepianie się funkcjonariusza. Wygrażanie komuś bronią. Awantura w domu, bicie żony, a jak przyszła milicja wezwana przez sąsiadów, to wymachiwanie legitymacją służbową i groźby typu: „Ja was wszystkich rozpiardolę”... Takie prymitywne chamstwo, nadużycie uprawnień, które dotyczyło zarówno oficerów, jak i gości z techniki, z obserwacji, z logistyki...

Kolejno przesłuchiwaliście tych wszystkich ponad 600 ludzi?

– Fizycznie było to niemożliwe. Wybieraliśmy osobę, która opowiadała nam, czym się zajmowała konkretna komórka. A resztę poznawaliśmy głównie za pomocą akt personalnych. Jeżeli widać było, że czyszczone, czyli np. brakowało kartek, od razu dawaliśmy ocenę negatywną i zawiadamialiśmy pion śledczy. Nie byłem już w stanie sprawdzić, czy sprawa szła dalej do prokuratury, ale zapewne i tak się zdarzało. Każdy członek komisji miał część teczek do przeczytania i referował. Ja jako sekretarz czytałem wszystko. 600 teczek przez tydzień to prawie 100 dziennie. Ale dałem radę, sypiając po dwie godziny na dobę. O drugiej, trzeciej w nocy byłem odwożony radiowozem do domu na krótki sen, a o ósmej pojawiałem się z powrotem w Pałacu Mostowskich.

Stawał pan oko w oko z tymi, którzy wcześniej pana wsadzali?

– Zgłosił się do weryfikacji śledczy – porucznik, który mnie przesłuchiwał. Facet ode mnie może dwa, trzy lata starszy, chodzący do liceum im. Reytana w tych samych latach co moja siostra. Nie był w tych przesłuchaniach nadgorliwy. Poszedł do SB po studiach prawniczych na UW. Bez żadnych wątpliwości zweryfikowałem go pozytywnie. Chciał iść do policji i zająć się przestępczością narkotykową. To proszę bardzo. Ale był też jego starszy partner z SB, ważniejszy w tym duecie. Psychol. Straszyl więźniów i ich rodziny. Ten akurat nie podszedł do weryfikacji. Pewnie zdawał sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans.

Czy dominował między nimi jakiś charakterystyczny typ człowieka?

– Większość z nich to byli ludzie przed czterdziestką. Myślę, że gdzieś ze wsi, z takiego wyraźnego awansu społecznego. Z jednej strony, praca w służbach była ich szansą życiową, z drugiej strony, chyba rzeczywiście uważali, że na tym polegała polska racja stanu – że Związek Radziecki nas rozjedzie, jak będziemy zanadto fikać. Zgrywali się bardziej na urzędników niż policjantów. Może z lekkim wstydem czasami... Część z domu dziecka, gdzieś na południu Polski. Sporo było takich werbunków do SB.

Jak rozumiem, to nie był przypadek?

– Jeżeli ktoś z domu dziecka w latach 60. trafił do Służby Bezpieczeństwa, to jakby Pana Boga za nogi złapał. No bo jakie on mógł mieć inne perspektywy w PRL? Zapić się na śmierć z kolegami albo zostać bandytą i siedzieć.

Wywoływali w panu ludzkie odczucia?

– Byli przestraszeni, trochę połamani, trochę nie wiedzieli, co się w ogóle dzieje... I zapewne niektórzy z nich nawet byli zadowoleni z tych przemian. Bo przecież SB to była podła organizacja i oni też mieli tego świadomość. (...) Przyszedłem na Rakowiecką, aby się zemścić. Kiedy zostałem sekretarzem komisji rewizyjnej, natychmiast zakołatała mi myśl: „Teraz to wam wszystkim dopierdolę!”. Po czym, siedząc i czytając ich akta, zacząłem widzieć tych ludzi, każdego z osobna, każdego z indywidualnym życiorysem, i przyszła refleksja: „A komu to ja mam niby dopierdolić?”. Kto za to jest odpowiedzialny? Jaka jest ich osobista w tym odpowiedzialność? Jakaś z pewnością jest, ale do jakiego stopnia ich własna, a do

jakiego ich przełożonych? Czy szyfrant robił coś złego? Czy facet z obserwacji, który nie zawsze wiedział, kogo obserwuje, robił coś złego? Kiedy mścił się za to, że mu ktoś uciekł, robił to z własnej inicjatywy, czy też miał odgórny prikaz? Bo przecież znane są przypadki pobić opozycjonistów przez „nieznanych sprawców”, szczególnie drastyczne w terenie, poza Warszawą, gdzie reguły gry były dużo bardziej zaostrzone. No więc bili z własnej inicjatywy czy z polecenia? Kiedy zaczynamy sobie stawiać pytania, świat przestaje być czarno-biały.

Próbuje pan ich usprawiedliwić.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie, a tym bardziej próba wybielania systemu. Idzie o zachowanie człowieczeństwa – mojego człowieczeństwa. Bardzo szybko przeszła mi chęć zemsty. Gdybym zaczął się mścić, stałbym się dokładnie taki sam jak oni. (...)

Czy podczas weryfikacji korzystał pan z doświadczenia, jakiego nabywa historyk?

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ: Chyba można tak powiedzieć. Miałem niezwykłą okazję poznawczą, którą zmarnowałem w tym sensie, że nie robiłem notatek. Oczywiście, że w takiej pracy nie robi się notatek. Ale obserwowałem. I chyba zrozumiałem PRL jako nieprawdopodobną maszynę awansu społecznego, który nigdy wcześniej zdarzyć się nie mógł. Zobaczyłem ludzi różnych wiekiem, których łączyło jedno: byli znikąd. Często z małych miejscowości, z zabitych dechami wsi, z biednych, prostych domów. Państwo ludowe wyciągnęło do nich rękę, doceniając ich rzutkość i inteligencję. Oczywiście, że stawali się psami systemu, to poza kwestią. Ale ścieżka awansu społecznego odegrała tu nieprawdopodobną rolę. Byli też synowie bonzów partyjnych, aparatczyków, dla których umieszczenie syna w wywiadzie okazywało się wielką sprawą. Ci synkowie mieli polor, pewną gładkość, lecz prawdę mówiąc, najbardziej mnie ciekawili ludzie z tych północno-mazowieckich wiosek, wyglądający, jakby świeżo od pługą odeszli, niekiedy wciąż posługujący się taką mową. Ich walorem był chłopski spryt, który w tej pracy czynił z nich bardzo sprawnych funkcjonariuszy. MSW to chyba było ostatnie takie miejsce w Polsce, gdzie hasło awansu społecznego dla najniższych warstw rzeczywiście zostało przekute w czyn. W gruncie rzeczy fascynujące zjawisko. Zacząłem się zastanawiać: gdybym się urodził tam, gdzie oni, gdybym miał taki świat, jaki oni mieli, czy też nie przyszedłbym do SB? Mam łaskę późnego urodzenia i łaskę urodzenia się w inteligenckiej rodzinie z jakimiś tradycjami. Pewne wybory dla mnie były oczywiście – dla nich nie. Oni wiedzieli jedno: że to było ich państwo i ich

awans. Nawet w najśmielszych snach ich rodzice nie mogliby sobie wyobrazić swoich synów na tak ważnych dla państwa stanowiskach. Czy możemy uznać, że oni mieli jakiś wybór? Od kiedy się ten wybór w ogóle zaczynał? Tak naprawdę od 1980 r. Wówczas pojawiła się cezura istnienia i nieistnienia komunizmu, a w gruncie rzeczy istnienia bądź nieistnienia wyborów. Ale wcześniej? (...) U tych młodszych wyglądało to trochę inaczej. Jeden z tych, których tam poznałem, powiedział: „Wiesz co, ja właściwie równie dobrze mógłbym być świetnym księdzem...”. W pierwszym momencie lekko mnie zatkało. Ale nagle pojąłem, w czym rzecz. Funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa i ksiądz oznaczali taki sam awans, czyli takie samo przebicie szklanego sufitu. I jako ksiądz, i jako oficer wywiadu mógł być równie sumiennym, gdzie trzeba sprytnym, rzetelnym, lubianym przez ludzi, potrafiącym wzbudzić zaufanie, umiejętnie zarządzającym parafią, jak i wyznaczonym dla siebie terenem operacyjnym. Oczywiście wciąż mówię o ludziach dużo starszych ode mnie. To było niezwykle ciekawe doświadczenie. Kiedyś nawiązałem kontakty z ich byłymi przeciwnikami, a więc z ludźmi ze służb brytyjskich. Mandaryni, potomkowie Normanów, z elitarnych służb specjalnych Jej Królewskiej Mości – światowcy, którzy od urodzenia mieli wszystko. Wtedy znowu coś zrozumiałem. Dlaczego wywiad sowiecki osiągał tak wielkie sukcesy na terenie Anglii. Przecież po drugiej stronie byli chłopscy synowie – z Ukrainy, z Kazachstanu, Karelii, diabli wiedzą skąd jeszcze. Ich siłą stanowił ten chłopski spryt, zwierzęca intuicja i przebiegłość, odporność na stres i wschodnia cierpliwość, zdolność przeżycia w najcięższych warunkach. Taka konfrontacja nie mogła się dobrze skończyć dla potomków Normanów. (...)

Kiedy poczuł pan, że zaszła zmiana?

– Czerwiec, może początek lipca 1990 r. Wejście do ministerstwa, do którego przyjeżdżał gen. Kiszczak. Wejście do tego najświętszego sanktuarium władzy. I jest taka scena. Wychodzę przed budynek, bo mamy jechać gdzieś z Kozłowskim, lecz orientuję się, że jeszcze go nie ma. Świeci słońce, kiedy ja od paru tygodni siedzę w jakichś ciemnych pomieszczeniach, nie wychodząc w ogóle na zewnątrz. Ja, który urodziłem się i wychowałem na wsi, kocham góry, nagle zostałem zamknięty w czterech ścianach, w brzydkim gmachu, w większości z nieciekawymi ludźmi. W tej chwili stoję w słońcu. Jest ciepło, siadam na stopniach tego najświętszego miejsca, zdejmuję marynarkę, wyciągam papierosa, zapalam, wystawiam twarz do słońca... Przez moment czuję się wolny. I nagle widzę wokół siebie, w oknach wychodzących na wewnętrzny dziedziniec MSW, twarze, w niektórych oknach po dwie, po trzy – i wszystkie patrzą na mnie. Wypaliłem

papierosa, przyszedł Kozłowski, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy. Po pewnym czasie jeden z funkcjonariuszy wywiadu powiedział, że to był moment, który dla niego i dla jego kolegów oznaczał koniec starego systemu. Dokładnie w tej jednej chwili zrozumieli, że już będzie całkiem inaczej. To znaczy: jakiś cywil, rewolucyjny szczeniak siedzi sobie na dziedzińcu najświętszego symbolu władzy i go bezczęści, pałac papierosa i wystawiając twarz do słońca. Łamie obyczaj, łamie rytuał, łamie świętość. Większość tych ludzi widziała mnie po raz pierwszy, więc przypuszczam, że to było tak: „O, popatrzcie, to ten od tego Kozłowskiego... Ale szczył... Na schodach się opala...”.

Kiszczak już nie był ministrem?

– Jeszcze był. Właśnie na tym to polega. Bo z jego opowieści wyglądało trochę tak, jakbym zdeponował króla, sikając na jego pusty tron, mimo że on nadal jest królem.

Dlaczego wojewódzkie komisje w terenie były bardziej srogie niż centralna w Warszawie?

– Faktycznie tak było. Choć bywały i wypadki odwrotne – nieliczne. Kozłowski twierdził, że zadziałał tu bardzo prosty mechanizm. Gdzie była silna opozycja i gdzie ludzie opozycji mieli kogo wydelegować do komisji, tam weryfikacja przebiegała stosunkowo łagodnie. Głównie dotyczyło to dużych ośrodków miejskich. A najwięcej głów leciało w tych miejscach, gdzie opozycja była słaba, rozbita albo jej prawie w ogóle nie było.

Dlaczego?

– Najłatwiej wyjaśnić to na przykładzie Jacka Kuronia. Trudno o bardziej oczywistą, pomnikową i spiżową postać opozycjonisty w PRL. Niewątpliwy symbol oporu wobec reżimu. I wydawałoby się, że tak dręczony przez Służbę Bezpieczeństwa człowiek szczególnie powinien pragnąć, aby ludzi tej formacji wyciąć w pień. Tymczasem mechanizm był dokładnie odwrotny. Kuroń bronił bezpieczników, którzy się nim zajmowali. Chcieliśmy wyrzucić Lesiaka, a on chodził i prosił, żeby go zostawić. Twierdził, że pułkownik był poczciwy, w gruncie rzeczy nigdy nie zrobił mu krzywdy, że wykonywał tylko to, co do niego należało, bez szczególnej złośliwości. Skoro odgórnie ustalono, że część z tych ludzi można zostawić, a przecież i tak te wszystkie departamenty szły pod nóż, to patrzeć należy na człowieka indywidualnie. Takie było myślenie tych, którzy najwięcej swego czasu oberwali. Bezwzględnością

natomiast wykazywali się ci, którzy bezpieczeńę znali raczej z cudzych opowieści. (...)

Czy idąc do MSW, był już pan przekonany, że „opcja zerowa” to nie najlepsza metoda?

– Na pewno po części takie przekonanie zrodziło się z rozmów z Krzysztofem Kozłowskim. Ale nie tylko. W grę wchodziła również tradycja, w naszym przypadku – krakowska tradycja, która raczej każe patrzeć na państwo niż na cokolwiek innego. To był nasz sposób myślenia. Nie chcę powiedzieć, że wyłącznie stańczykowski, ale w pewnym sensie środowiskowy. Tego typu rozmowy polityczne prowadziliśmy przez całe lata 80. (...) Polacy nie cenią państwa, nie rozumieją go, nie potrafią się do niego przywiązać. Nie zdają sobie sprawy, że państwo jest ich jedyną arką, dzięki której nie stają się archaicznym plemieniem, i że o państwo trzeba dbać. Trzeba je pielęgnować i je wzmacniać, nie dlatego że samo w sobie jest wartością. Państwo jest tylko narzędziem albo rodzajem osłony dla ludzi, którzy tutaj żyją. Dla moich rodaków.

Przy takich założeniach oczywiste było dla mnie, że spotkam na Rakowieckiej ludzi, którzy pracowali po drugiej stronie, i że nie mogę ich skreślić z automatu. Zakładałem możliwość procesu, a więc część z nich zostaje, szkoli, przekazuje doświadczenia i pracuje tam, gdzie musi nadal pracować. Z czasem przychodzą nowi ludzie i zastępują starych. To wszystko musi potrwać kilka lat. Obaj z Kozłowskim byliśmy przekonani, że państwo nie może zostać pozbawione służb. A służby to również obserwacja, technika, łączność, finanse, czyli struktury, które wymagały rzemieślniczej pracy i rzemieślniczej wiedzy. Ich likwidacja spowodowałaby, że musielibyśmy poprosić o pomoc obcych specjalistów. Tak jak Czesi, którzy musieli korzystać z pomocy niemieckiego BND. Prawdę mówiąc, taka wersja, w której ktoś z innego kraju, nawet uznanego za naszego absolutnego sojusznika, miałby decydować o tym, jak będą wyglądały służby suwerennej Polski, wydawała nam się raczej nie do przyjęcia. W grę wchodziło poczucie wartości własnego kraju. Do tego wszystkiego pojawił się jeszcze argument często przytaczany przez Kozłowskiego – że w Polsce cały czas coś się działo. Na przykład operacja „Most” – przecież trzeba było ten transport zabezpieczyć nie tylko od strony fizycznej, ale także od strony kontrwywiadowczej, mieć jakieś rozeznanie wśród ludzi, którzy przedtem zajmowali się terrorystami. Bo kto niby miałby się zająć zabezpieczeniem tej operacji? Faceci z Ruchu WiP, z NSZZ „Solidarność”? Śmieszne. (...)

Rozmowa pochodzi z książki Grzegorza Chlasy Czterech. Brochwicz, Miodowicz, Niemczyk, Sienkiewicz, Czarna Owca, Warszawa 2014

W lipcu 1990 r. rozpoczęła się weryfikacja Służby Bezpieczeństwa. Był to proces kwalifikowania byłych funkcjonariuszy do pracy w nowo powstającym Urzędzie Ochrony Państwa, w Policji i do pracy cywilnej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych... Spośród 24 tys. funkcjonariuszy byłej SB (według stanu na czerwiec 1989 r.) weryfikacji poddało się ponad 14 tys. Pozytywnie zweryfikowano i przyjęto do służby w UOP i Policji 10 439 osób, odrzucono 3595. Decyzje komisji wojewódzkich nie były ostateczne. 8681 osób przeszło pomyślnie procedury weryfikacyjne w pierwszej instancji. 4880 negatywnie zweryfikowanych oficerów odwołało się do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, która uchylila decyzje komisji wojewódzkich w stosunku do 1800 osób.

(na podstawie „Przeglądu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wydanie Specjalne. 20-lecie UOP/ABW”, Warszawa 2010)